Co Słychać

DWUTYGODNIK STRESZCZEŃ

..The.. Polish Fortnightly Digest



Nr. 11/141 5·VI·1944 6d
ROK V

OKŁADKA: Egzekucja Bürckela, dyrektora więzienia na Pawiaku, wykonana 7-go września 1943 r.

OD REDAKCJI.

1. W paru kolejnych numerach podamy na okładce ogromnie ciekawe rysunki, wykonane przez świetnego wojennego artystę-malarza, kapitana Bryan de Grineau. Kpt. de Grineau wykonał swoje rysunki zgodnie z opisem, dynym mu przez jednego z polskich oficerów, który walczył w szeregach Polskiej Armii Podziemnej, a który niedawno przybył do Wielkiej Brytanii.

Dzisiejszy rysunek przedstawia egzekucję wykonaną przez człowieka Armii Podziemnej, przebranego za ulicznego grajka. W futerale obok skrzypiec znajdował się "Tommy-gun" z którego zastrzelił Bürckela z bardzo bliskiej odległości.

Na rycinie widać również żonę Bürckela z dzieckiem, którzy nie odnieśli najmniejszego szwanku.

Egzekucja została wykonana na rogu Marszałkowskiej i Litewskiej. Na tramwaju Nr.19 widać napis "Służewiec".

W tramwaju było pełno niemieckich żołnierzy, którzy zostali ostrzelani przez innych członków Podziemnej Armii

CZWARTACY.

3.oficerowie i żołnierze 4 pp.Leg. proszeni są o zgłoszenie:

2/swoich adresów w Wielkiej Brytanii, na Środkowym Wschodzie i w krajach alianckich,

b/adresów Czwartaków w obozach jeńców i internowanych

c/adresów obarczonych dziećmi rodzin w Kraju, pod adresem: Tymczasowy Komitet Pomocy jeńcom i internowanym z b.3 pp.Leg.-Ferdynand Świtalski, 8 Emperor's Gate, S.W.7. Dotychczas zarejestrowano 2o adresów jeńców i internowanych, 3 adresy rodzin, wysłano 84 paczki, opłaciło składki w wysokości po lo sh. - Ł.1.5.-/oficerowie/ i po 2-5 sh./szeregowi/ 13 kolegów.

2. Stalin i GPU.

Zamieszczamy dalszy ciąg streszczenia z książki Louis Fishers p.t. "MEN AND POLITICS".

W drugiej połowie 1933 r., a szczególnie w 1934 r nastąpiło pewne ogólne uspokojenie życia w Rosji. Oczywiście GPU nie zaprzestało pracy. Lecz represje zmniejszyły się widocznie. Ludzie rozmawiali swobodniej i nawet w literaturze widać było wpływ tej zmiany.

Działały również i inne czynniki, podkopujące pozycję GPU. Wschodziła gwiazda Litwinowa. Dyplomacja sowiecka odgrywała coraz większą rolę w polityce światowej, a Litwinow nie mógł ścierpieć wtrącania się GPU do polityki zagranicznej. Poprzednio aresztowano cudzoziemców bez uprzedzania komisariatu dla spraw zagranicznych i stwarzano w ten sposób komplikacje. Agenci GPU zagranicą mieszali się do nie swoich spraw, wytwarzając złą opinię sowieckim dyplomatom. Litwinow zwalczał zamiłowanie GPU do wrzechobecności.

Również i czerwoną armię oburzało dążenie GPU do wszechpotęgi. GPU także uważało się za armię, za pewien rodzaj elity wojskowej, a oficerowie GPU mieli się za coś lepszego od oficerów armii. Lecz Rosja zaczęła się zbroić; znaczenie armii stale wzrastało, a wpływy GPU malały.

Pewna szpiegowska afera zadała GPU śmiertelny cios właśnie w chwili, gdy akcje jej stały najniżej. W 192o r. armia sowiecka podeszła pod bramy Warszawy. W szeregach jej znajdował się komunista ukraiński Konar. Zginął on w czasie walk i znalezione przy nim papiery osobiste Polacy wręczyli polskiemu agentowi, nazwiskiem Poleszuk. Poleszuk wyjechał do Rosji jako Konar dla prowadzenia wywiadu na rzecz Polski. Zamieszanie, wynikłe w Rosji po wojnie z powodu głodu i katastrofy gospodarczej, ułatwiło mu zadanie i znalazł on wkrótce pracę w Sowietach. Szybko posuwał się po stopniach sowieckiej hierarchii. Na Ukrainie wysunął się na czoło, a wyróżniwszy się jako zdolny pra-

cownik, został przeniesiony do Moskwy, gdzie w końcu mianowano go pomocnikiem komisarza rolnictwa w rządzie federalnym. W tym charakterze brał on udział w posiedzeniach najwyższych organów rządowych, przedkładając memoriały Stalinowi i innym wybitnym bolszewikom. Oczywiście, że składał również raporty wywiadowi polskiemu. Utrzymywał przy tym kontakt z licznymi agentami polskiego wywiadu w całej Rosji.

W 1931 r. Konar ożenił się z piękną sowiecką gwiazdą filmową. Był szczęśliwy, znajdował się bowiem prawie u szczytu władzy w Związku Sowieckim. Związanie się z wywiadem polskim ciążyło mu mocno, groziło bowiem ciągłym niebezpieczeństwem. Postanowił zerwać kontakt. Lecz Polacy nie chcieli się zgodzić na to. Tego rodzaju człowiek mógł oddać im bezcenne usługi właśnie dlatego, że zajmował tak wysokie stanowisko. Mieli go w rękach, gdyż jedno słowo wystarczyłoby do zlikwidowania go przez GPU. Dlatego też Konar musiał dalej pracować dla wywiadu polskiego.

Pewnego dnia na wielkim zebraniu w Moskwie Konar został przedstawiony pewnemu urzędnikowi ukraińskiemu. Ten z początku nie mógł zorientować się. Znał on dobrze Konara w swoim czasie. Lecz to nie był Konar. Urzędnik obserwował Konara w czasie zebrania, a potem podzielił się swymi podejrzeniami z GPU.

GPU zaczęło obserwować Konara. Agent GPU zrobił ukradkiem zdjęcie fotograficzne w sklepie komisowym w Moskwie, w chwili gdy Konar doręczał papiery polskiemu attache wojskowemu, płk.Kowalewskiemu. Konara rozstrzelano, a Kowalewski został odwołany do Warszawy.

Można sobie wyobrazić rozmowę Stalina z Jagodą na ten temat. "Co jesteście warci" - wykrzykiwałby Stalin - "jeżeli nie potraficie trzymać szpiegów zdala od mojego biura. Macie wszędzie swych ludzi, lecz nie potraficie odkryć szpiega, który pracował z nami przez 13 lat!"

Sytuacja gospodarcza poprawiła się. W kraju panował spokój. GPU pracowało w przeszłości źle i przeciwnicy postanowili wykorzystać sprawę Ko-

napra. W styczniu 1934 r. rząd sowiecki przekazał szereg funkcji sądowych z kompetencji GPU do sądów cywilnych. Zwężone w działalności GPU przemianowano od tej chwili na komisariat spraw wewnętrznych.

Zwykle gdy tworzono nowy komisariat, komisarza wyznaczano równocześnie. Lecz nowy komisariat pozostawał bez komisarza przez sześć miesięcy, a za kulisami toczyła się zacięta walka. Chodziły plotki, że faworytem Stalina na to stanowisko był Jan Rudzutak, komunista łotewski. Rudzutak należał do dziesiątki czołowych bolszewików /później też go stracono/. Lecz Jagoda również ubiegał się o to stanowisko. Popierał go Maksym Gorkij. Jagoda i Gorkij byli przyjaciółmi i łączyły ich dość skomplikowane stosunki osobiste. Gorkij wywierał duży wpływ na Stalina, który szanował jego kulturę literacką, przy czym pochlebiało mu posiadanie Gorkiego w rzędzie swych popleczników. W rezultacie Jagoda został mianowany komisarzem spraw wewnętrznych w lipcu 1934 r., wygrał więc ponownie.

Lecz władza Jagody była już dużo mniejsza. Był on również mały pod względem fizycznym; wszyscy ostatni szefowie GPU byli ludźmi niskiego wzrostu. Widziałem go bardzo malutkiego pewnego mroźnego dnia, w grudniu 1934 r., na Czerwonym Placu, w kilka dni po zamordowaniu przez Nikołajewa Sergiusza Kirowa, bolszewika Nr. 4. Nikołajew zwolniony z posady rządowej, obwinił o to Kirowa i zastrzelił go.

Rząd sowiecki kazał natychmiast rozstrzelać 1o3 osoby, znajdujące się w tym czasie w więzieniach. Oczywiście nie miały one nic wspólnego ze śmiercią Kirowa. Wobec tego że samobójstwa są zwykle zaraźliwe, bolszewicy uważali, że i morderstwa polityczne mogą stać się takimi również. Prasa sowiecka zawsze bardzo ostrożnie podawała szczegóły zamachów, dokonywanych na życie mężów stanu w innych państwach. Nie chciano ułatwiać zadania osobnikom w Rosji, noszącym się z podobnymi myślami. Rozstrzelanie 1o3 więźniów, w większości obcych szpiegów lecz cześciowo i młodych komunistów - odstępców, by-

ło zwykłym aktem zastraszenia naśladowców Nikołajowa.

Gdy do Moskwy przyszły wiadomości o zabójstwie Kirowa, Stalin i Jagoda pojechali najbliższym pociągiem do Leningradu, Stalin postąpił wtedy dość dziwnie lecz logicznie: przez kilka godzin rozmawiał sam na sam z zabójcą. Chciał zrozumieć psychikę obywatela sowieckiego i komunisty, który zastrzelił jednego z najbardziej popularnych sowieckich przywódców.

Nikołajew był niegdyś zwolennikiem Zinowiewa i ex-opozycjonistą. "Stalin" - pisałem potem w artykule - "doszedł do prostego wniosku: "Opozycjonista zawsze pozostanie opozycjonistą". Postanowił przeto całkowicie zniszczyć resztki zwolenników Trockiego i Zinowiewa, którzy z biegiem czasu powrócili na mniejsze stanowiska w partii i w rządzie. Sądzę, że to do pewnego stopnia wyjaśnia późniejsze procesy moskiewskie. Prawie wszyscy oskarżeni w nich byli ex-opozycjonistami. Stalin obawiał się, że w razie jakiegoś kryzysu zwrócą się oni przeciwko niemu. Jego wiecznie podejrzliwy umysł mówił mu, że ludzie, którzy byli wierni Trockiemu, Zinowiewowi lub Kamieniewowi, nie mogą być nigdy naprawdę lojalni w stosunku do niego, mimo wszystkich zapewnień.

Ciało Kirowa wystawiono na widok publiczny w Moskwie. Stalin złożył pocałunek na wargach zmarłego, a następnie on, Kalinin, Woroszyłow, Kaganowicz i inni ponieśli urnę z prochami poprzez ulice miasta, Czerwony Plac do ściany Kremla, gdzie ją zamurowano. Stałem bardzo blisko tej grupy i moje oczy dalekowidza widziały doskonale całą scenę. Stalin był naprawdę smutny, gdyż Kirow był jego serdecznym przyjacielem. Najdokładniej jednak obserwowałem Jagodę. Szedł on obok urny, a oczy jego spoczywały to na Stalinie, to na straży, która go strzegła. Sam wyglądał jak zaszczute zwierzę. Stalin musiał dać mu dobrą nauczkę. Pierwszą czynnością Stalina było zwolnienie najwyższych urzędników GPU w Leningradzie za niedbalstwo.

Zwykle w czasie uroczystości na Czerwonym Placu,

pewna liczba przywódców bolszewickich poprzedza Stalina w drodze do trybuny, umieszczonej pod marmurowym mauzoleum Lenina. Sam on podchodzi cokolwiek później - nie wiem czy rozmyślnie. Tego dnia Stalin wszedł na trybunę pierwszy i stał tam samotny przez chwilę, obracając głowę w jedną i drugą stronę, jakby chciał powiedzieć: "Oto jestem. Nie boję się". Potem inni weszli na trybunę. Czerwona armia wystawiła dodatkowe posterunki na Czerwonym Placu na pogrzebie Kirowa, uzupełniając posterunki GPU, które w takich wypadkach zawsze miały monopol. Posterunki posiadały nowe mundury bez odznak.

Stalin potrafi czekać. Posiada on niewiarogodną cierpliwość. Jest to jego największa zaleta. Usuwa swych wrogów lub rywali na raty. Jeżeli ma przed sobą jakąś przeszkodę, woli on ją usunąć w dwuch, a nawet w trzech fazach. Trockiego zniszczył w sześciu posunięciach. Zinowiewa i Kamieniewa w czterech, Rykowa i Tomskiego w trzech. Państwa Bałtyckie opanował dwoma wypadami. Podobny jest do drapieżnego zwierzęcia, które najprzód uderza łapą ofiarę, aby poczuła jego siłę, potem uderza aby ją obezwładnić. Cofa się, obserwując skutki, a w końcu zabija. Musi posiadać w swym mózgu konto, zatytułowane "sprawy niezałatwione", gdzie notuje nazwiska ludzi jeszcze niewykończonych. Tam zapisał sobie kilka razy Jagodę i tam również w 1934-1935 r. zanotował sobie wszystkich ex-opozycjonistów.

W 1935 r. GPU zostało pozbawione swych szczególnych przywilejów i nastraszone. Był to początek procesu demokratyzacji kraju, którego Stalin nie próbował powstrzymywać. Klasy i grupy antybolszewickie zniknęły. Kułacy nie byli już więcej ważkim czynnikiem społecznym. Natomiast wielu z nich, wynędzniałych i skruszonych, zaczęło powracać do swych wsi. Inteligencja stała się pro-sowiecka. Inżynierowie nie-komuniści zajęli wysokie stanowiska w przemyśle. Przynależność do partii przestała być szczególnym przywilejem i nie-komuniści nie byli podejrzewani o mniejszą lojalność niż komuniści. Różnice pomiędzy obu grupami stawały się coraz mniejsze. Nepmanów więcej nie było. Osłabienie oficjalnego bezprawia widoczne było wszędzie. Dra-

końskie metody rządzenia nie wygasły całkowicie, lecz widoczna była dążność do umiarkowania. Na Kremlu zdano sobie sprawę, że arbitralne działanie i gwałty nie mogą na stałe zastąpić mądrej administracji. Regime coraz częściej apelował za pomocą perswazji do własnego interesu ludności.

Pomimo zabójstwa Kirowa, rok 1935-ty zaznaczył się jako rok największej swobody osobistej w Związku Sowieckim. Skojarzyło się to z dobrą koniukturą gospodarczą. Jedno i drugie zaś łączyło się z maksymalnym ograniczeniem bezwzględności GPU.

Wędzidła nałożone GPU przypisywali bolszewicy mądrości Stalina. Była to prawda, lecz przyczyniła się również do tego jego wroga niechęć do współzawodników. Polityka Stalina polegała zawsze na skoncentrowaniu maksimum władzy w swych rękach, oraz na możliwie największym rozbiciu czynności administracyjnych pomiędzy innych, tak aby nikt nie mógł stać się zbyt mocny. Ambasady sowieckie zagranicą musiały nawet uzyskiwać telegraficzne pozwolenie na urządzanie poobiednich herbatek. Żadnej jednostce czy instytucji w Rosji nie wolno było zdobyć zbyt wiele popularności lub władzy. Stalin usiłuje zmonopolizować popularność i władzę i użycza jej cząstkę swym podwładnym tylko wtedy, gdy wymagają tego potrzeby administracyjne. Robi to jednak w taki sposób, że może być szybko cofnięta i zawsze jest ściśle kontrolowana. Premier Mołotow i Łazarz Kaganowicz i inni zajmują wysokie stanowiska i ponoszą wielką odpowiedzialność. Stalin nie jest w stanie sam wykonać wszystkiego. Lecz oni są tylko jego pionkami.

Stalin jest geniuszem organizacyjnym. Zebrał sobie gromadę podwładnych, którzy zależą od jego łaski i są zbyt mali, albo zbyt wdzięczni, albo też zbyt powolni i zastraszeni, aby mogli zwrócić się przeciwko niemu. Jakiekolwiek okazanie nadmiaru indywidualności lub ambicji, lub też nadmiaru popularności pociąga za sobą fatalne skutki. Wiedzą oni o tym doskonale. Okazuje się to w rzeczach wielkich i małych. Pewien zagraniczny fotoreporter przybył do Moskwy, aby zrobić zdjęcia bolszewickich przywódców. Gdy zwrócono się do

komisarza wojny, Woroszyłowa, ten zapytał, czy zrobiono już zdjęcie Stalina. Czekał dotąd, dopóki zdjęcia Stalina nie wykonano i wtedy dopiero sam pozował. Fryderyk Kuh, korespondent United Press, wracając z Mandżurii miał wywiad z Woroszyłowem, przy którym byłem obecny. Woroszyłow zabrał depesze Kuh'a do Stalina do ocenzurowania. Nie próbował nawet zrobić tego sam. Kuh, opisując gabinet pracy Woroszyłowa, napisał, że na biurku leżał rewolwer. Woroszyłow sądził, że nie byłoby wskazane, aby ta wiadomość ukazała się w prasie zagranicznej. Stalin powiedział: "Dlaczego? Wojskowy i rewolwer?"

Stalin pilnuje tych małych spraw, aby przyzwyczaić swych podwładnych do nierobienia bez niego wielkich, a kończy się to tak, że i wszystkie małe sprawy decydowane są przez niego samego.

Stalin otrzymuje dosłownie tysiące listów dziennie z całego kraju. Wiele z nich czyta sam i na każdy list wysyłana jest odpowiedź, podpisana przez niego, albo też przez odpowiedni departament. Sam zachęca do pisania tych listów, gdyż robi go to popularnym. Rozsławia to jego imię jako rozdawcę łask i arbitra ludzkich losów.

3. Czy wiecie, że...

Wieczoru, w którym nowa książka Wiktora Hugo ukazała się na rynku, wielki francuski pisarz nie mógł powstrzymać się od chętki dowiedzenia się, jak też idzie jej sprzedaż.

Wziąwszy kartę pocztową, zaadresował ją do swego wydawcy, a na drugiej stronie postawił wielki znak zapytania.

Wydawca też był dowcipny i przesłał Hugo natychmiastową odpowiedź, wyrysowawszy na swojej karcie ... ogromny wykrzyknik.

Z braku miejsca w numerze dzisiejszym, powiadamiamy krótko Czytelników, że Związek Harcerstwa Polskiego wznowił czasopismo dla młodzieży pod nazwą "Z U C H"

Zamówienia kierować należy pod adresem: 17 Chantry House, Eccleston Street, London, S.W. 1. Pełne ogłoszenie podamy w numerze następnym.

4. Wiadości z "Vaterlandu".

PRAWO DLA NIEWOLNIKOW.

W 1942 r. ukazała się w Rzeszy książka p.t. "Prawo Pracy Polaków w Rzeszy", której autorami są Hans Kuppers - Oberregierungsrat w Reichsarbeitsministerium i dr. Rudolf Bannier - Regierungsrat. Jest to półurzędowy zbiór, systematyzujący dla użytku praktycznego porozrzucane uprzednio po różnych ministerstwach rozporządzenia, instrukcje i okólniki, dotyczące Polaków, pracujących w Rzeszy.

Znaczna część przepisów stanowi prawa wyjątkowe, wydane dla Polaków. Nie obowiązują one żadnych innych cudzoziemców, ani robotników z Generalnego Gubernatorstwa narodowości niepolskiej, jak Ukraińców, Białorusinów i t.p. Prawa te mają tak specyficzny charakter, że narzuca się analogia do ustaw norymberskich, wydanych przeciwko Żydom. I było istotnie tendencją władz Rzeszy postawić Polaków, pracujących w Niemczech na drugim miejscu po Żydach, jako element napiętnowany publicznie, izolowany, wyrzucony poza ramy społeczeństwa.

Oto kilka charakterystycznych komentarzy, jakimi autorzy dzieła zaopatrzyli zebrane przez siebie przepisy:

"... Naród niemiecki musi sobie uświadomić, że Polak pozostaje przynależnym do narodu wrogiego wówczas także, gdy mieszka i pracuje w granicach Rzeszy ..."

"... Polakowi nie przysługuje żadne miejsce w niemieckiej wspólnocie fabrycznej. Mijałoby się również z narodowym celem, gdyby Polak ze swoim niskim standartem życiowym był sztucznie podciągany do poziomu socjalnego narodu niemieckiego . ."

"... Jeżeli Polak zobowiązuje się do pracy w Rzeszy, to jednak w żadnym wypadku nie może tu być witany jako dobrze widziany towarzysz pracy. Rząd Rzeszy zdaje sobie sprawę, że zatrudnienie Polaków połączone jest z niebezpieczeństwami, zwłaszcza z punktu widzenia utrzymania czystości rasy. Jeżeli jednak przyjmuje się Polaków na roboty w Rzeszy, to tylko dlatego, że przy nadmiarze zadań niema innego wyjścia. Tak, jak Polak nie należy do nie-

miemieckiej wspólnoty narodowej, nie może on należeć i do niemieckiej wspólnoty socjalnej. «Stosunki z Polakami muszą być w każdym wypadku ograniczone do ram najkonieczniejszych dla wykonania nałożonej nań pracy. Praca wykonywana wspólnie z Niemcem nie może nigdy do tego prowadzić, aby się zacierała przez to wrogość etniczna obydwu narodów..."

"... Bez upośledzenia Polaka na odcinku socjalnym robotnik niemiecki miałby słuszne pretensje, by tak podkreślany przez naszą propagandę dystans od elementu polskiego znalazł wyraz w poprawie warunków pracy Niemca. Takiej ewolucji stoją na przeszkodzie konieczności gospodarki wojennej. Przez ograniczenie praw pracy Polaków odsunięto oczekiwany nacisk ku zwyżce płac niemieckich."

Przypomnienie książki Kuppers-Bannier jest szczególnie aktualne w obecnej chwili, kiedy Niemcy w przewidywaniu zbliżającej się katastrofy starają się zatuszować w pamięci narodów Europy poprzednie swoje pociągnięcia. Z ust pełnomocnika Rządu Rzeszy Sauckla padło nawet zdumiewające słowo "humanitaryzm" w stosunku do Polaków, stanowiące przekreślanie całej dotychczasowej linii polityki okupanta. To trąbienie na odwrót będzie obecnie coraz częstsze. Ale w książce Kuppers-Bannier możemy jeszcze obserwować właściwy stosunek do podbitego narodu w dawnej, nieskażonej formie: nie kształtuje się on pod hasłem "humanitaryzmu", lecz w myśl starogermańskiej zasady - "biada zwyciężonym".

/Przedruk z P.A.P. Światpol/.

PANICZNE NASTROJE WŚRÓD NIEMCÓW.

Niemcy niepokoją się coraz bardziej o swoją przyszłość. Mimo wielkich wysiłków propagandy, pragnącej przekonać społeczeństwo niemieckie, że ... przecież nie jest jeszcze najgorzej, - niektóre ośrodki żyją już wyraźnie pod znakiem zbliżającej się klęski. Szczególnie daje się to zauważyć w okręgach "inkorporowanych" do Rzeszy, na Śląsku Opolskim i w Prusach Wschodnich.

Najwymowniejsze potwierdzenie tego faktu znajdujemy w artykułach prasy niemieckiej. "Ostdeutscher Beobachter" zamieścił w marcu b.r. kilka felietonów, w których starano się napiętnować tych Niemców,

którzy tracą wiarę w ostateczne zwycięstwo Rzeszy. Jeden z tych felietonów poświęcony jest sprawie "niezrozumiałych - jak pisze autor - uśmieszków pod adresem Polaków".

Czytamy tam: "Ludzie, którzy zatracili w sobie resztki godności niemieckiej, rozsiewają paniczne wieści, że Polacy rządzić będą nietylko w Poznaniu, ale nawet w Gdańsku i w Królewcu. Niektórzy, wyzuci z honoru, zaczynają obcować z Polakami i świadczyć im różne usługi, zapominając o niezmiennej wrogości Polaków w stosunku do Niemców. Czy po to walczyliśmy - pyta autor felietonu, - czy po to żołnierz niemiecki przelewał krew, abyśmy mieli oddać Polakom ziemie niemieckie? Ci, którzy tracą wiarę w nasze zwycięstwo i rozsiewają paniczne pogłoski, są największymi wrogami naszej ojczyzny."

W prasie niemieckiej pojawia się coraz więcej artykułów pisanych w tym duchu. Świadczą one o tym, jak pesymistyczne nastroje szerzą się wśród ludności niemieckiej.

/Przedruk z P.A.P. Światpol/.

5. Jak szybko i jak wysoko?

W ciągu ostatnich stu lat zdołał człowiek zwiększyć przeszło dziesięciokrotnie szybkość przenoszenia się z miejsca na miejsce. Nie oznacza to jednak wcale, że się on zbliżył do granicy osiągalnej szybkości. Jeżeli bowiem pilot jest zabezpieczony w szczelnej kabinie przed ciśnieniem wiatru i samolot nie zmienia gwałtownie kierunku, mechaniczny ucisk, jakiego doświadcza on w powietrzu, nie jest wcale większy od tego jaki odczuwałby, znajdując się na ziemi. Ziemia, ze wszystkimi jej mieszkańcami, nie tylko podróżuje dookoła słońca z szybkością 65.000 mil na godzinę, lecz kręci się również dookoła swej osi z szybkością około 600 mil na godzinę. Człowiek nie zdaje sobie jednak z tego sprawy.

Na organizm człowieka, poruszającego się jednostajnie, oddziałowuje tylko siła przyciągania ziemi, zwana jego ciężarem. Jeżeli jednak w ruchu tym zachodzą zmiany, czy to pod względem szybkości, czy

kierunku, zaczynają działać inne, potężne siły. Weźmy dla przykładu samolot wyrzucany z katapulty. W trakcie przyśpieszania szybkości lotu pilot doświadcza uczucia ściągania go w tył, w kierunku oparcia, przez siłę, równą kilkakrotnej jego wadze. Ujawnia się to w skurczu twarzy pilota, szczerzącego w tym momencie zęby, jak warczący pies. Przyśpieszenie ruchu działa w poprzek ciała ludzkiego. trwając tylko kilka sekund i o ile pilot posiada nocne oparcie dla głowy i ramion, znosi je z łatwością.

Jeżeli szybko lecący samolot zmienia nagle kierunek, podlega wraz z pilotem działaniu wyjątkowo potężnych sił. Fenomen ten, znany jako "zaciemnienie", wystąpił po raz pierwszy na wyścigach samolotowych o nagrodę Schneidra. Piloci, zawracający na wielkich szybkościach, przestawali widzieć wyraźnie, a nawet ślepli zupełnie na kilka sekund. Dzisiejsi piloci, a w szczególności piloci myśliwscy, są z tym zjawiskiem zupełnie otrzaskani.

Gdy samolot leci po krzywej, czy to zawracając, czy wyrównując lot po nurkowaniu, potężna siła odśrodkowa odciąga go, jak również i pilota od centrum opisywanego koła. Działanie tej siły wzrasta w prostym stosunku do kwadratu szybkości i słabnie w miarę wydłużania się promienia koła. Pilot odczuwa jej działanie w formie wielkiego wzrostu ciężaru wszystkich części ciała. Obliczono, że ciężar pilota, opisującego koło o promieniu 1000 stóp z szybkością 300 mil na godzinę, wynosi około pół tonny, jego krew zaś nabiera wagi roztopionego żelaza. W miarę wzrastania wagi serca dostarczenie przez nie krwi do głowy staje się co raz bardziej utrudnione. Mózg i oczy mogą funkcjonować zaledwie kilka sekund bez normalnego dopływu krwi i utrata wzroku przy zjawisku "zaciemnienia" spowodowana jest przerwą w obiegu krwi w siatkówce. Przy dalszym wzroście przyspieszenia ruchu, dopływ krwi do mózgu ustaje całkowicie i pilot traci przytomność.

Stosowano już różne środki, zmierzające do zmniejszenia skutków oddziaływania siły odśrodkowej na pilota. Duże znaczenie ma pozycja jego ciała. Pozycja skurczona przy podniesionych nogach skraca

odległość, na którą serce musi przesyłać krew do głowy i zmniejsza niebezpieczeństwo braku dopływu jej do stóp. Jeszcze bardziej ułatwia normalne krążenie krwi pozycja leżąca, twarzą do ziemi. Jest to jednak pozycja bardzo męcząca i utrudniająca kierowanie samolotem.

Technika wytworzyła tak silne i zwrotne maszyny, że mogą one poddać pilota działaniu sił, przekraczających jego wytrzymałość. Inaczej mówiąc, granica użyteczności maszyny pod względem jej zwrotności na wielkich szybkościach przestaje był zagadnieniem czysto technicznym i przeradza się w zagadnienie wytrzymałości człowieka. Szybkość manewrowania ma duże znaczenie w pojedynkach powietrznych, zależy ona już jednak nie tyle od maszyny, ile od człowieka. Największe jednak niebezpieczeństwo zagraża pilotowi na wielkich wysokościach z powodu rozrzedzonej atmosfery.

Dla podtrzymania życia człowiek potrzebuje pożywienia, wody i powietrza. Bez pożywienia może żyć kilka tygodni, bez wody kilka dni, ale bez powietrza tylko parę minut. Powietrze składa się z jednej części tlenu i czterech części azotu, z drobną domieszką innych gazów. Najważniejszym z tych składników jest tlen, możność jednak magazynowania go w organiźmie żyjących istot jest bardzo ograniczona. Jak tylko więc płuca zaczną napełniać się azotem, w komórkach ciała występują objawy ostrego braku tlenu, zwane w medycynie "anoksją". W ludzkim ciele najwrażliwszymi na brak tlenu są komórki mózgu i systemu nerwowego, wskutek czego anoksja przejawia się u ludzi przede wszystkim w postaci zaburzeń mentalnych.

Na wielkich wysokościach mieszanka powietrza zachowuje zasadniczy stosunek ilości tlenu do azotu, staje się jednak znacznie rzadsza. Na wysokości 42.ooo stóp płuca otrzymują mniej niż jedną szóstą normalnej ilości tlenu, co już nie wystarcza dla podtrzymania życia. Na długo jednak przed osiągnięciem tej wysokości brak tlenu zaczyna oddziaływać na pilota, osłabiając działalność jego umysłu. Zatraca on jasność sądu, popełnia rażące błędy, przestaje panować nad swymi mięśniami i wreszcie traci

przytomność. Co więcej, nie zdaje on sobie zupełnie sprawy ze swego stanu.

Objawy chorobowe braku tlenu podobne są do objawów zatrucia alkoholem.

Jak dalece mogą być one groźne w skutkach, ilustruje wypadek, jaki miał niedawno miejsce nad Niemcami. Z powodu rozłączenia się przewodów aparatu tlenowego pilota, ten ostatni zawiadomił załogę, że zamierza lądować. Opuścił koła i usiłował dokonać lądowania na wysokości 18.000 stóp na ławicy chmur. Kiedy załoga usłyszała dalej, że samolot znajduje się poniżej poziomu ziemi i że wobec tego pilot zamierza go opuścić, nawigator zorientował się co zaszło: powstrzymał wyskakującego już pilota, opanował stery i połączył rozłączone przewody tlenowe.

Istnieją dwa sposoby zwalczania skutków choroby wysokości. Pierwszy polega na sztucznym zwiększaniu ilości tlenu, wchłanianego przez pilota przy pomocy specjalnie skonstruowanej maski tlenowej. Drugi zmierza do tegoż celu, lecz drogą zgęszczenia powietrza w płucach. O ile jednak zgęszczanie powietrza w maszynie osiąga się z łatwością przy pomocy kompresora, w płucach ludzkich jest to znacznie trudniejsze do zastosowania, nadmierne bowiem ciśnienie wewnętrzne mogłoby je rozsadzić. Ażeby uniknąć tego niebezpieczeństwa, należy całkowicie otoczyć pilota zgęszczonym powietrzem. Da się to osiągnąć bądź przez zaopatrzenie go w specjalny strój, przypominający strój nurka, bądź przez umieszczenie w hermetycznie zamkniętej kabinie, wytrzymującej zwiększone ciśnienie powietrza, dostarczonego przez pompę, połączoną z silnikiem. Kabiny tego rodzaju jako znacznie wygodniejsze i bezpieczniejsze dla pasażerów, niż łatwo uszkadzalne maski tlenowe, są już obecnie w powszechnym użyciu w lotnictwie cywilnym. W bojowych jednak maszynach nie są one bezpieczne ze względu na możliwość przedziurawienia cienkich stosunkowo ścian.

Wyższość kabin nad maskami polega nie tylko na zabezpieczeniu przed możliwością ucieczki tlenu. Na wysokościach do 36.000 stóp człowiek może uniknąć uduszenia przez wchłanianie czystego tlenu,

powyżej jednak 44.000 stóp nie zabezpiecza to już go przed utratą przytomności. Na wysokości 63.000 stóp ciśnienie krwi równa się ciśnieniu atmosferycznemu. Gdyby więc człowiekowi udało się wzlecieć na tę wysokość, krew jego by się zagotowała i płuca napełniłyby się parą. Powyżej 40.000 stóp jest konieczne nie tylko wdychanie czystego tlenu, lecz również i zwiększenie ciśnienia powietrza. Strój, w którym por. lotnik Adam pobił w 1937 r. światowy rekord wysokości, wznosząc się na 54.000 stóp, napełniony był czystym tlenem pod ciśnieniem około dwuch i pół funta na cal kwadratowy. W tego rodzaju stroju mógłby człowiek żyć nawet w powietrznej próżni.

Tak więc skutki braku tlenu mogą być całkowicie przezwyciężone do wysokości mniej więcej ośmiu mil przez wchłanianie czystego tlenu. Na większych wysokościach musi być stosowane dodatkowo zwiększone ciśnienie powietrza.

Granica zaś bezpieczeństwa życia ludzkiego wynosi: przy wchłanianiu czystego powietrza około 16.000 stóp i przy wchłanianiu tlenu - 40.000 stóp. Powyżej tej granicy człowiek może żyć tylko w atmosferze sztucznej.

Powyższy ciekawy artykuł na temat lotniczych możliwości człowieka przy wznoszeniu się na wielkie wysokości napisał profesor Bryan Matthews, kierownik laboratorium fizjologicznego R.A.F.

Mr Matthews twierdzi, że możliwości techniczne budowanych dzisiaj maszyn przewyższają w ogromnym stopniu fizyczne możliwości lotnika. Odnosi się to do lotów w stratosferze, jako też i lotów po krzywej na zawrotnych szybkościach.

Umysł człowieka stopniowo jednak opanowuje stojące na drodze trudności i technika stwarza co raz więcej możliwości wykonywania lotów na wysokościach, na których żadne żyjące stworzenie nie może żyć dłużej niż parę minut.

Nadzwyczajne postępy w budowie kabin, wytrzymujących ogromną różnicę ciśnienia, oraz możliwości dostatecznego rozprowadzania niezbędnego człowiekowi tlenu, doprowadzą po wojnie w krótkim czasie do wielkich odkryć.

Nie minie wiele lat, gdy usłyszymy o próbach lotów najpierw na księżyc, a następnie na jedną z najbliższych planet. Postępy na polu technicznym umożliwiają takie loty w zupełności, a doświadczenia lotników, latających dzień po dniu na wysokościach ponad 4o.ooo stóp, czynią takie próby możliwymi do pomyślnego ich przeprowadzenia.

6. Amerykanie lądują.

Amerykańskie magazyny i periodyki obfitują w opisy swych korespondentów, obecnych na wszystkich walczących frontach.

Nic to dziwnego, że czasopisma, posiadające setki tysięcy czytelników, mogą sobie na to pozwolić. Opisy zaś toczonych walk, obserwowanych z bliska, są nader ciekawe dla ludzi, posiadających swych braci, synów czy przyjaciół na froncie, może właśnie w miejscu opisywanym.

Takich opisów, popartych autentycznymi zdjęciami fotograficznymi jest tysiące. My, przy naszych nader skromnych możliwościach, możemy przynajmniej wybierać z pośród nich i dawać Czytelnikowi najbardziej interesujące.

Frank Kluckhohn reporter THE NEW YORK TIMES MAGAZINE opisał lądowanie Amerykanów na jednej z wysp na Pacyfiku. Warto to przeczytać.

Na wybrzeżu jednej z wysp Pacyfiku pogodny srebrny księżyc oświetlał rozkołysane palmy, otaczające plażę. Na morzu stoi szereg okrętów, rysujących się czarnymi sylwetkami na tle nieba. Niektóre z nich najeżone są działami, skierowanymi na brzeg i w niebo. Ciszę nocną przerywa gardłowy dźwięk motorów wielu desantowych łodzi. Ciemny szereg małych łódeczek najprzeróżniejszych kształtów, wije się bezustannie, pozostawiając za sobą białe, wężowate ślady.

Hałas motorów ginie nagle w huku wielkich dział morskich, bombardujących plażę. Czerwone pociski świetlne lecą na wybrzeże, powalając drzewa i wyrzucając w niebo fontanny ziemi i odłamków. Białe błyski u wylotów armatnich luf zlewają się z zapalającymi się na horyzoncie błyskawicami.

Falami nadlatują bombowce, pokrywając teren lą-

dowania świetlnymi pociskami, opadającymi na ziemię, jak wielkie czerwone krople. Wybuchy bomb wstrząsają wyspą.

Łodzie posuwają się ostrożnie w kierunku białej linii wybrzeża. Nagle odzywa się grzechot nieprzyjacielskich karabinów maszynowych i łoskot moździerzy. Pociski świetlne lecą na morze. Łodzie desantowe, błyskające ogniem wszystkich swych dział, wdzierają się na brzeg. Ponuro wyglądające postacie ludzkie w zielonych strojach wynurzają się na wpół zgięte z łodzi, przebiegają przez wąski skrawek piasku i nikną w gęstym listowiu.

Wkrótce pojawiają się bombowce nieprzyjacielskie i spadają nurkującym lotem nad plażę. Lądujące oddziały zdążyły jednak już się okopać i atakującego nieprzyjaciela spotyka ogień artylerii przeciwlotniczej, wspierany ogniem karabinów maszynowych i ręcznych. W tym momencie nadlatują myśliwce. Wywiązują się walki powietrzne. Jeden z kontrtorpedowców. rozwinąwszy pełną szybkość, kluczy po morzu i zieje morderczym ogniem swych baterii, po mistrzowsku unikając bomb. Na lądzie co raz to wybucha ogień karabinowy. To oddziały desantowe ścierają się z nieprzyjacielskimi patrolami. Na plażę zaczynają znosić rannych.

Tak wygląda w ogólnych zarysach desant, stanowiący podstawę ofensywy przeciw Japończykom. Jest to zapewne najtrudniejszy ze wszystkich rodzajów walki Wiele szczegółów techniki lądowania i stosowanych dla jej ułatwienia nocnych typów broni musi jeszcze pozostać tajemnicą. Na południowym jednak i południowo-zachodnim Pacyfiku, będącym teatrem wielu już lądowań, ustalił się stopiowo pewien rodzaj działań desantowych.

Bardzo duże znaczenie ma zaskoczenie nieprzyjaciela i trzymanie go w niepewności przynajmniej do momentu przed samym lądowaniem. Japońskim samolotom udaje się często wykryć położenie floty. Nie mogąc jednak przewidzieć miejsca zamierzonego desantu, lecą one zwykle za konwojem. Dla uniknięcia zbyt ciężkich strat, lądowanie następuje zwykle na zgóry upatrzonych plażach, bądź nieobsadzonych przez nieprzyjaciela, bądź też słabo przezeń bronionych.

Doświadczenie wykazało, że nieprzyjaciel nie jest w stanie obronić wszystkie plaże czy to jednej wielkiej wyspy, czy też pasma wysp.

Lądowania dokonywane są czasem o północy, czasem o świcie, a czasem w biały dzień. Może być wybrana noc księżycowa, lub też zupełnie ciemna. W pewnych wypadkach stosuje się bombardowania dywersyjne, czasami zaś lądowanie następuje od razu bez uprzedniego ostrzeliwania terenu.

Podstawowe jednak elementy taktyczne pozostają zawsze niezmienne. Dotyczy to przede wszystkim zapewnienia skutecznej ochrony powietrznej okrętom i lądującym oddziałom i osłabienia lotnictwa nieprzyjacielskiego drogą niszczenia samolotów przeciwnika na ziemi i w powietrzu, oraz przyległych do terenu działań lotnisk i lądowisk.

Dalej, musi być dokładnie ustalone położenie nie wykazanych częstokroć na mapach, niebezpiecznych mielizn i raf koralowych. Musi być zbadany czas odpływu i przypływu morza. Muszą być przeprowadzone ścisłe obliczenia meteorologiczne co do przewidywanej w momencie ataku pogody w bezpośrednim obszarze działań t.j. nad własną bazą lotniczą i nad terytorium nieprzyjacielskim.

Siły, biorące udział w desancie, mogą być rozlokowane w różnych punktach. Czas przybycia ich na miejsce lądowania musi być jednak tak dokładnie obliczony, żeby wszystkie znalazły się równocześnie na wyznaczonym odcinku plaży. Czasem, mimo ukończenia wszystkich czynności przygotowawczych, nagła zmiana pogody powoduje odłożenie terminu lądowania. Zadaniem wywiadu powietrznego jest wówczas wybadanie wszelkich zmian, jakie zachodzą w układzie sił nieprzyjaciela.

W odpowiednich, wygodnie rozmieszczonych punktach zgromadza się wielkie zapasy sprzętu wojennego, amunicji i żywności. Żołnierzy, biorących udział w akcji, zaopatruje się w pełny, możliwie jednak najlżejszy ekwipunek bojowy.

Technicy desantowi, zwani "amphibs", rekrutowani są z pośród oficerów marynarki i specjalistów z piechoty morskiej. Muszą oni umieć obchodzić się z różnymi typami łodzi desantowych. Są między

nimi, mające przeszło 300 stóp długości, łodzie do lądowania czołgów, t.zw. "kaczki" /wozy-amfibie/, "bawoły" /rodzaj czołgów-amfibii/, niezgrabne "aligatory" i cały szereg innych łodzi, przeznaczonych do specjalnych zadań.

Ludzie ci nie tylko znajdują się zawsze w pierwszej linii lądujących oddziałów, lecz muszą później noc w noc dowozić posiłki. Zadanie to wykonują zwykle pod obstrzałem ciężkiej artylerii i pod bombami stale towarzyszących im nieprzyjacielskich samolotów. Biorąc pod uwagę wszystkie ich ciężkie i niebezpieczne obowiązki, stwierdzić trzeba, że ogólny wysiłek tych ludzi jest nie mniejszy od wysiłku pilotów bojowych.

Przenieśmy się na chwilę na okręt admiralski i przyjrzyjmy się, co się odbywa na nim podczas desantu. Na pokładzie znajduje się admirał, dowodzący wszystkimi siłami morskimi i generał - dowódca wojsk lądowych ze swym sztabem.

Jednostki eskortujące połączyły się już z konwojem i lada chwila nastąpi lądowanie.

Okręt, kierowany osobiście przez admirała z mostku kapitańskiego, prowadzi transportowce na miejsce spotkania z innymi jednostkami, zajmującymi pozycje bojowe. W pobliżu znajduje się łódź pilota, zadaniem którego jest koordynowanie ruchów wszystkich, podpływających z różnych kierunków łodzi desantowych.

Kontrtorpedowce transportowe podchodzą bliżej do brzegu.

Pierwszy oddział dywersyjny usiłuje prześlizgnąć się bez przygotowania artyleryjskiego na brzeg, akurat naprzeciwko admiralskiego okrętu. Na plaży słychać strzały. Jeden z kontrtorpedowców sygnalizuje: "czy mamy otworzyć ogień?" Admirał odpowiada krótko: "nie, nie wiem czy nasi ludzie są już na brzegu i nie chcę żeby ich wystrzelano".

Hydroplan nieprzyjacielski zrzucił bombę na jeden z okrętów i chybił. Znaczy to, że naloty rozpoczną się lada chwila. Admirał jest w stanie dokładnie obliczyć, ile czasu potrzebują Japończycy dla zorganizowania nalotu i przysłania samolotów na miejsce desantu. Obowiązkiem jego jest dopilnować, żeby okręty wykonały swe zadanie i odpłynęły

przed przylotem bombowców. Artyleria milczy. Sztab jednak szybko zorientował się, że łodzie desantowe płyną z opóźnieniem i ciężkie działa okrętowe otwierają ogień, siejąc na wybrzeżu śmierć i zniszczenie.

Wąskie i kręte przejścia pomiędzy masą nagromadzonych okrętów utrudniają ruchy łodzi i powodują dalsze ich opóźnienie. Generał prosi o odłożenie bombardowania powietrznego na kilka minut. Niewidoczne bombowce otrzymują za pomocą sygnałów świetlnych rozkaz wstrzymania ataku. Nie na długo jednak. Pada nowy rozkaz i bombowce ruszają do walki.

Nadpływa trzecia fala najcięższych łodzi z eskortą i okręt admiralski prowadzi je w kierunku wybrzeża. Nie może on jednak podejść zbyt blisko i w pewnym momencie pilotowanie łodzi przejmuje mniejszy okręt. Generał opuszcza pokład. Z brzegu dają znać, że z powodu stłoczenia łodzi, lądowanie trzeciej partii musi być nieco wstrzymane. Pilot zatrzymuje swą partię.

Łodzie desantowe otrzymują rozkaz wyławiania ludzi z wody. Pomaga im w tym łódź ratunkowa admiralskiego okrętu.

Wreszcie trzecia partia rusza na brzeg. Admirał widzi, że nie powinien trzymać swych okrętów dłużej blisko brzegu i daje im rozkaz połączenia się z konwojem. Odpływają i wkrótce nikną na horyzoncie.

Oczekiwanych bombowców nieprzyjacielskich wciąż jeszcze nie widać. Myśliwce są już jednak gotowe na ich przyjście. Nagle osłona powietrzna melduje zbliżanie się formacji nieprzyjacielskiej od północy. Admirał wzywa swą łódź ratunkową do natychmiastowego powrotu i daje rozkaz odpłynięcia. Japończycy nadlatują, okręt admiralski kluczy już jednak na pełnym morzu, a ustawiona na brzegu artyleria przeciwlotnicza wita bombowce ogniem swych dział. Sekundują im karabiny maszynowe i działka resztki, znajdujących się jeszcze przy brzegu, łodzi desantowych.

Nalot trwa krótko i dzięki dobrej obronie mało przyczynia szkód. Działom okrętu admiralskiego udaje się odstraszyć wszystkie bombowce, prócz jednego, który wciąż uparcie nurkuje. W pewnym momencie kapitan tak gwałtownie skręca w prawo, że okręt

kładzie się na boku, a grad bomb spada na wodę w miejscu, w którym się on przed chwilą znajdował.

Japończycy odlatują w kierunku swych baz; flota odpływa pełną parą na morze, operacje desantowe zostały pomyślnie zakończone.

Będzie ich jeszcze wiele, zanim Japonia zostanie pokonana.

7. Samokierująca się bomba.

M.P.

Najlepsze mózgi techniczne Zjednoczonych Narodów głowią się nad problemem, jak osłabić niemiecką machinę wojenną, ażeby tym sposobem skrócić wojnę i zmniejszyć ofiary w ludziach.

Specjaliści przyszli do wniosku, że Niemców można by położyć przez zniszczenie ich wszystkich wielkich pieców.

Jeżeli technika potrafi rozwiązać to zadanie, to rzeczywiście źródła, z których płynie potęga nieprzyjaciela, mogą być zlikwidowane w ciągu niewielu tygodni.

Artykuł poniższy, pióra K.K. DOBEREK, ogłoszony w Practical Press pod tytułem A BOMB THAT STEERS ITSELF, dokładnie analizuje ten ogromnie ciekawy problem.

Stal jest fundamentem zbrojnej potęgi, która wstrząsnęła i zawładnęła Europą. Żelazo jest surowcem służącym do wyrobu dział, czołgów, karabinów maszynowych, łusek do granatów i bomb. W centrach przemysłowych wszystkich krajów pracują stale wielkie piece, przerabiające roztopione strumienie żelaza na stal, potrzebną do uzbrojenia armii. Potężne te olbrzymy wyrzucają z siebie bez przerwy rozżarzone do białości, płynne masy metalu, przekuwanego następnie na narzędzia śmierci wszelkich możliwych rodzajów.

Lekarze nazywają lekarstwa półśrodkiem, łagodzącym zewnętrzne objawy choroby. W tym ujęciu wszystkie czołgi i działa, które wysyłamy na pole walki dla przeciwstawienia się czołgom i działom najeźdźcy, są również tylko półśrodkami. Mogą one jedynie powstrzymać wydzieliny śmiertelnego wrzodu, zasilanego stałym dopływem materii ze źródeł, działających wewnątrz organizmu, w tym wypadku z wielkich pieców w centrach przemysłowych. Zniszczenie tych pieców mogłoby unieruchomić całe centrum prze-

mysłowe. Musimy więc wynaleźć broń, którąby to zniszczenie uczyniła pewnym i całkowitym.

Wielki piec jest w rzeczywistości wieżą około 9o stóp wysoką, o średnicy około 3o stóp i o cienkich stosunkowo ścianach. Kolos ten wypełniony jest w całej swej długości wrzącą do białości rozżarzoną masą, ważącą kilka tysięcy ton. Gdyby materiał eksplodujący, zawarty w 1ooo-funtowej bombie wybuchł we wnętrzu tego dymiącego wulkanu, płynne masy żelaza zalałyby całą najbliższą okolicę.

Zbombardowanie jednak wielkiego pieca jest, praktycznie biorąc, prawie niemożliwe. Oczywiście, gdybyśmy zamierzali stworzyć jednostkę bombardującą, przeznaczoną specjalnie do tego celu, wywiad wojskowy mógłby stosunkowo łatwo zaopatrzyć ją w dokładną mapę wszystkich wielkich pieców nieprzyjaciela. Jednakże, o ileby nawet wszystkie te piece znajdowały się w zasięgu naszych bombowców, nie ułatwiłoby to niesłychanie trudnego zadania trafienia celu, mającego trzydzieści stóp średnicy. Jest to wprawdzie, cel nieruchomy, ale właśnie dlatego jest on z pewnością silnie broniony przez baterie dział szybkostrzelnych i balony zaporowe. A wystarczy zawiesić po jednym balonie nad każdym piecem, ażeby zamienić je w groźną dla samolotów pułapkę.

Musimy więc posiadać bombę, którąby mogła trafić wielki piec, chociażby nie była zrzucona w strefie niebezpieczeństwa. Musimy również wynaleźć przyrząd, ukazujący pilotowi dokładnie cel nawet na wielkich wysokościach. Obu tym żądaniom czyni zadość, istniejąca już obecnie, bomba ślizgowa.

Dzięki skrzydełkom, w które jest zaopatrzona, ześlizguje się ona na ziemię pod bardzo ostrym kątem, a wyrzucona z wysokości 3.3oo stóp, dosięgłaby piec po odbyciu poziomego lotu, wynoszącego około trzech mil. Można więc ją zrzucić daleko przed obrębem strefy niebezpieczeństwa, obliczyć moment wyrzucenia z taką dokładnością, jakby się to odbywało ponad objektem bombardowania. Zależy to tylko od starannego i ścisłego przekalkulowania poziomego lotu, jaki bomba będzie musiała odbyć, oraz dostarczenia przez wywiad dokładnej mapy, ukazującej znaki rozpoznawcze w promieniu trzech mil dookoła

pieca. Trzeba wreszcie pamiętać, że dzięki skośnemu kierunkowi lotu bomby ślizgowej, płaszczyzna celu wielokrotnie się powiększa.

Wszystkie te świetne rezultaty dadzą się osiągnąć pod warunkiem umożliwienia lotnikowi wzięcia na cel osi pieca. Zadanie bombowca byłoby jeszcze bardziej ułatwione, gdyby dało się zaopatrzyć go w przyrządy celownicze, działające we mgle i w chmurach. Pozwoliłoby mu to bowiem na latanie w obrębie celu bez narażania się na wykrycie.

Jedyną znana dotychczas w tej dziedzinie metoda, opiera się na wykorzystaniu infra-czerwonych promieni, emanowanych przez niektóre obiekty.

O ileby więc i cel bombardowania je emanował, moglibyśmy określić dokładnie jego położenie, pomimo mgły i chmur. Otóż tak się szczęśliwie składa, że poza wulkanami najpotężniejszymi wydzielaczami infra-czerwonych promieni są właśnie wielkie piece. Chodziłoby więc już tylko o wynalezienie torpedy, kierowanej automatycznie przez źródło gorąca, wydzielającego infra-czerwone promienie, a moglibyśmy, wbrew wszelkim zasadom sztuki strzelania, trafiać do celu, właściwie weń nie celując.

W aktach wielkiej afery szpiegowskiej, jaka miała miejsce w Stanach Zjednoczonych we wrześniu 1941 r. figuruje dokument, formułujący jedno z najpoważniejszych zadań, powierzonych niemieckiemu agentowi Fryderykowi Duguesne. Brzmi on, jak następuje:

"Niemieckiemu wywiadowi wojskowemu potrzebna jest informacja, dotycząca wynalazku, opartego na czymś w rodzaju promienia, który Międzynarodowe Towarzystwo Telefonów i Telegrafów miało zaoferować rządowi brytyjskiemu i francuskiemu. Promień ten ma umożliwić automatyczne kierowanie bombowcem i automatyczne zrzucanie bomb w chwili znalezienia się bombowca w pobliżu celu. Teoretyczna podstawa tego wynalazku jest, oczywiście, dobrze znana niemieckiemu sztabowi. Sposób jednak praktycznego jego zastosowania znany jest, zdaje się, amerykańskim inżynierom".

Wynalazek ślizgowej torpedy, atakującej automatycznie wielkie piece bez pomocy radia, zgłoszony został w urzędzie patentowym w 1938 r., przez Powszechne Towarzystwo Elektryczne w Berlinie i został

zarejestrowany pod Nr. 654,113. Patent opiewa na przyrząd rejestrujący kierunek i przybliżoną odległość od obiektu, do którego zmierza samolot, a to przy pomocy promieni, wydzielanych przez ten obiekt. Działanie tego przyrządu oparte jest na dwuch wklęsłych lustrach, umocowanych po obu stronach samolotu, które koncentrują w sobie napływające promienie i skierowują je na komórki fotoelektryczne. Dzięki specjalnemu położeniu tych luster każde odchylenie samolotu od linii prowadzącej prosto do celu powoduje zmianę kąta zetknięcia się promieni z lustrami, co wpływa na wzmocnienie lub osłabienie prądu, wydzielanego przez komórki fotoelektryczne. Tak więc, ten stosunkowo mały i tani przyrząd umożliwia pilotowi stałe utrzymywanie samolotu na linii źródła promieni.

Gdybyśmy ten sam przyrząd dostosowali do infraczerwonego światła, t.zn. uczynili go czułym na działanie promieni cieplnych, ani fale elektryczne, ani reflektory, nie mogłyby zmienić kierunku torpedy powietrznej, skierowanej na wielki piec. Ewentualne próby nieprzyjaciela wpłynięcia na jej bieg za pomocą infraczerwonych promieni okazałyby się również bezskuteczne, ponieważ źródła emanujące byłyby zawsze bez porównania słabsze od olbrzymiej masy roztopionego metalu, wypełniającego wielki piec.

Podstawową koncepcją wynalazku jest, że zwolniona torpeda może odbyć swą ostateczną podróż samodzielnie, kierując się do celu. Metoda kierowania torpedą przy pomocy ciepła wydzielanego z samego celu może się wydać mało realną, nie jest ona jednak bynajmniej jedyną tego rodzaju. W piśmie Popolo d'Italia z 18 czerwca 1941 r. ukazał się artykuł, opisujący doświadczenia przeprowadzane przez szwedzkie Ministerstwo Obrony z automatyczną torpedą powietrzną, wynalezioną przez szwedzkiego inżyniera z Oestersundu.

Torpeda ta ma kształt miniaturowego samolotu o napędzie rakietowym i posiada dwa krótkie skrzydełka, wyposażone w rodzaj prymitywnego aparatu telewizyjnego. Tarcza kontrolna, umieszczona w samolocie, umożliwia celowniczemu śledzenie kierunku torpedy i kierowanie jej lotem. Nie jest to oczywiście wynalazek nowy. Cała trudność polega na praktycznym

jego zastosowaniu. Stany Zjednoczone podjęły tego rodzaju próby dużo wcześniej niż Szwecja i istnieją wszelkie widoki, że doprowadzą one po dłuższym lub krótszym czasie do szerokiego zastosowania torpedy powietrznej, kierowanej na odległość.

Problem kierowania systemem telewizyjnym nie jest tak trudny do rozwiązania. Zwykła lampa rtęciowa, umieszczona na torpedzie, umożliwi kierowanie lotem tej ostatniej z ekranu świetlnego, znajdującego się w samolocie, nie zdradzając jej przy tym zupełnie przed nieprzyjacielem.

Co to jest osobowość?

d.e.

Czy osobowość podlega zmianom? Czy indywidualność raz osiągnięta, pozostaje stałą i niezmienną cząstką naszego jestestwa? Możemy się urodzić z usposobieniem - flegmatycznym lub wybuchowym, lecz dziedzictwo może być przezwyciężone przez otoczenie lub okoliczności życiowe.

W rzeczywistości dany osobnik często zupełnie nie zdaje sobie sprawy z posiadania indywidualności lub też indywidualność jego może wydać się innym ludziom zupełnie odmienną, niż on sam sobie to przedstawia.

Jak brylant posiada wiele ścianek, tak wyraz czyjejś indywidualności może różnie przedstawiać się różnym ludziom. Żaden osobnik nie potrafi nabyć lub rozwinąć w pewnym kierunku swej osobowości. Jeżeli spróbuje to uczynić, rezultaty mogą się okazać wręcz nieprzewidziane, gdyż osobowość przez niego posiadana, może rozpłynąć się nagle jak mydlana bańka pod dotknięciem ręki. Albo też osobowość, którą on pragnie w sobie wyrobić, stanie się jedynie czymś ekscentrycznym lub też nieatrakcyjnym zbiorem jego słabostek.

Otoczenie i okoliczności życiowe mają bez wątpienia swój wpływ na wyrabianie się osobowości. Trudy i przeciwności potęgują ją, wygody i luksus mogą ją tłumić. W obu wypadkach jednak niemożliwym jest zahamowanie jej rozwoju. Winston Churchill, opisując braki wielkiego Marlborough w jego wczesnych latach, tak powiada:

"Nie przypuszczam, ażeby zewnętrzne wypadki po

okresie dzieciństwa odegrały dominującą rolę w rozwoju jego charakteru. Osobowość Marlborough rozwijała się z bezlitosną pewnością, czasem w harmonii, często jednak wbrew jego otoczeniu".

Bez wątpienia osobowość rozwija się z biegiem lat, u jednych szybciej u drugich powolniej. Najczęściej rozwija się bez wiedzy jej posiadacza, gdy inni doskonale ją dostrzegają.

Jeżeli rozwija się ona u mężczyzn w okresie męskości lub u kobiet w okresie rozkwitu piękności, oddziałowuje wtedy tym więcej na innych ludzi.

Niemożliwe jest przewidzieć, w jaki sposób może się objawić dana osobowość. Czasem dokonać tego mogą studia; uwielbianie jakiegoś bohatera gdy jedna osobowość wywołuje inną. W końcu mogą wydobyć ją na wierzch tego rodzaju uczucia, jak miłość, ciężkie strapienie, patriotyzm, rodzaj jakiegoś wstydu lub wielkiego oburzenia. Najmniejsza iskra rozpala wtedy płomień i osobowość wypływa na zewnątrz w całej swej sile i wspaniałości. Niepodejrzewane i nieodkryte dotąd wartości ujawniają się w momencie, gdy niezbędna jest pomysłowość i przywództwo. Lub też jednostka taka odnajduje w sobie wielką dozę odwagi i potrzebnego innym współczucia.

W takim momencie mężczyzna lub kobieta wysuwa się na czoło z pośród szeregów, górując siłą nad innymi, wyświadczając niewypowiedziane usługi i poświęcając siębie. W tym wypadku osobowość objawia się i wyczerpuje się sama jak ofiarny napój, rozlany na ziemię...

Osobowość często dostrzegamy pośród dzieci. Gdy obserwujemy rozwój ich umysłu lub pewnych namiętności, widzimy jak ich siła woli stara się przewodzić, bronić się lub opierać.

Wychowawcy próbują określić i rozwiązać osobowość dzieci przez rejestrowanie ich "iloczymu inteligencji". Bardziej niezawodne doświadczenia, dotyczące osobowości dzieci wykazały u nich jej rozwój, gdy zostają naprzykład przełożonymi innych, dowódcami harcerzy lub też mają do wykonania jakieś odpowiedzialne zadania. Młodzież chce wtedy pokazać iż jest związana poczuciem honoru, przyrzecze-

nia lub pewnych zasad.

Potem gdy dziecko dorasta, charakter jego dojrzewa i życie, jak wykuta miedź, przybiera mniej lub więcej określony kierunek, a wykończona postać jednostki dosięga swego rozkwitu.

Rozwinięta osobowość może stać się czasem całkowicie egoistyczną, opartą jedynie na samolubstwie, tyranizowaniu innych i chęci panowania. Taki osobnik stawia siebie ponad innymi, pozbawiając swych współobywateli możliwości rozwoju ich osobowości. Osiąga on wtedy panowanie nad masami innych ludzi, wstydzących się swego poniżenia, lecz zupełnie bezsilnych. Demokracja odrzuca takich półbogów, lecz Mussolini i Hitler doszli w ten sposób do władzy.

Tyrania odrzuca przyrodzone prawo człowieka, do rozwoju jego indywidualności. Bez wątpienia w armii, marynarce i lotnictwie ludzie muszą być zmechanizowani i nie wolno im samodzielnie myśleć i rezonować. Ich obowiązkiem jest tylko słuchać. Niestety, w czasach dzisiejszych świat jest skazany na tolerowanie takiego systemu i indywidualność nie będzie miała możliwości rozwojowych do czasu, póki nie nastanie erą powszechnego pokoju, w której służba wojskowa przestaje istnieć.

Lecz wszelkie klasowe lub narodowe ruchy skazane są na niepowodzenie, jeżeli jednostka jest niczym a klasa, masa lub naród wszystkim. To samo dzieje się, jeżeli ludzie są wymusztrowani w posłuszeństwie lub pozwalają się unosić prądowi bez najmniejszej samodzielności i własnego sądu i gdy ich prawa osobowości są absolutnie przekreślone.

Państwo, sowiety lub unia będzie w takim wypadku tylko panem a nie sługą swego narodu. Każda jednostka zaś pozostanie niewolnikiem danego ustroju.

Nigdy świat nie będzie praworządnie rządzony, dopóki wartość indywidualna człowieka nie zostanie odpowiednio ceniona. I dopóki nie będzie dana każdej jednostce możliwość działania według własnej myśli i sądu dla rozwoju swej osobowości.

Edited and published by J. Stolinski - Edinburgh.
Printed by "C a Stychai" 40, Bruntsfield Place